

Adam Wlaryga-Minieski.

MAŁŻENSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

42

— Uciekła od męża? Ależ on jest przy wojsku!

— Uciekła z domu jego matki — to na jedno wychodzi.

— No, niekoniecznie — rzekła panna Korzewska, której jakieś nagle światło błysnęło w głowie — to może być różnica. Jakże to było i kiedy się stało?...

Maliniewiczowa szeroko i wymownie ją rozwodzić się nad awanturniczą samowolą Józki, nad jej „niemożliwym” charakterem, nie szczędząc najostrzejszych słów oburzenia osobie, która do tego stopnia mogła nie liczyć się z opinią. Radca sekundował żonie, unosząc się gniewem i rzucając pod adresem Józki obelgi i pogróżki.

Panna Antonina słuchała w milczeniu, nie przerywając żadnym pytaniem, żadną uwagą. Dziwna rzecz, po wysłuchaniu tego bezwzględniego oskarżenia surowa twarz starej panny złagodniała.

Prawie miękko i bardzo smutnie szepnęła:

— Biedne dziecko!... Ładne musiało tam mieć życie!... A wiedziałam, że tak będzie, ostrzegałam, mówiłam... Cóż, kiedy Pietraszka nie chciała... No! Nie chciała... Biedna Józka!...

— Czyś ty oszalała Antosiu! — krzyknął Maliniewicz — Bronisz jeszcze tej wariatki, tej zakąty naszej? To nie znasz jej, nie wiesz co to za ziółko od najwcześniejszych lat było?

— Myśmy z nią nie umieli postępować, ani ty, ani ja...

— Nie! Doprawdy tobie się coś przekreśliło w głowie!...

— Ale dlaczego ona nie przyjechała do mnie? — mówiła panna Antonina, jakby sama do siebie — No, tak... nie miała do mnie zaufania... nie lubi mnie... Niedobre, niewdzięczne dziecko...

— Pani zdradza wielką naiwność — podchwyciła Maliniewiczowa — że się pani wogóle zastanawia nad tem dlaczego nie przyjechała. Opieka ciotki i prowincjonalna dziura to perspektywy daleko mniej pociągające niż swoboda zupełna i duże miasto, gdzie można bawić się wesoło, bardzo wesoło, a nawet!...

Panna Korzewska zerwała się, z hałasem odsuwając krzesło. Wyblakłe jej oczy płonęły.

— To nieprawda! — krzyknęła — Józka nie est tak!... Pani nie ma prawa tak jej szkłować!... Pani nie wie, co ona tam...

— Niechże się pani nie unosi!... Mówmy spokojnie!... Nie wiem wprowadzić co ona robi we Lwowie, no... i wiedzieć nie chcę... Ale domyśleć się nie trudno. Zresztą nie ma o czem mówić. Musimy zapomnieć o tem, że wogóle istnieje jakaś Józka! — zakończyła twardo.

Panna Korzewska postąpiła kilka kroków po pokoju, stukając o podłogę obcasami swoich ciężkich bucików.

— Pani to będzie bardzo łatwo — powiedziała pośpiesznie — ale ojciec, czy on także zapomni?

Maliniewicz bębnił palcami po stole, marszcząc przytem groźne brwi.

— Czy ojciec może zapomnieć, że ma córkę? — powtórzyła z naciskiem swoje zapytanie panna Korzewska.

— A dajże mi z nią święty spokój!... Dość mam tej Józki! — wykrzyknął — Myślałem, że przynajmniej jak wydam za męża, to się pozbędę kłopotu, a tu masz!...

— My z tego rodzaju damami nie możemy mieć nic wspólnego, nie istnieją dla nas!

Panna Antonina zawładnął gniew niepomiarowy:

— Milcz pan!... Nie rzucaj potwarzy na to biedne, nieszczęśliwe dziecko, które wypędziłaś z domu ojcowskiego!

— Co? Co? Jak pani śmiesz!... W moim własnym domu!... Hilary, słyszysz?

Rozplomienione gniewem stały obie, gotowe skoczyć sobie do oczu.

— Proszę was nie urządzać awantur! — krzyknął Maliniewicz.

Panna Korzewska opanowała się pierwsza. Zrozumiała, że niesłusownie zachowała się w cudzym domu.

— Przepraszam panią, uniosłam się — wy-

rzekła z widocznym przymusem — ale pani krzywdzisz Józkę.

— Tak pani sady? — odrzuciła z ironią pani domu, która już także ochłoneła nieco i uspokoiła się.

— Znajoma moja, która widziała Józkę we Lwowie, mówiła mi, że ona niezwykle źle wygląda... jest bardzo zmieniona, tak jakby była chora...

Maliniewiczowa miała już na ustach jakieś zjadliwe wyjaśnienie, ale nie wypowiedziała go ze względu na służącą, która weszła do pokoju.

Dziewczyna położyła gazetę na rogu stołu i chciała zebrać zastawę.

— Idź do kuchni! — rozkazała krótko pani domu.

— Kiedy, proszę pani, chciałam sprzątnąć ze stołu.

— Później posprzątasz.

Służąca cicho wyszła z pokoju.

Zapanowała teraz długa chwila milczenia. Panna Antonina usiadła znowu i w pośpieszonym zamyśleniu wsparła głowę na ręce. Maliniewiczowa wypieszczonymi palcami skubała koronki swego szlafroka. Mąż jej niedbale przerzucał dziennik. Przebiegł szybko i najwidoczniej nie-dokładnie artykuł wstępny, przeczytał komunikaty generalnych sztabów, zatrzymał przez chwilę wzrok na tytułach, drukowanych tłustymi czcionkami, przejrzał kronikę i ogłoszenia, a potem jeszcze raz zaczął przebiegać oczyma gazetę z miną człowieka, który z obowiązku czyta, ale przekonany jest, że się niczego ciekawego nie dowie.

Nagle źrenice znieruchomiały mu, przygwożdżone do jakiejś wzmianki. Zaczął oddychać prędko i głośno. Podwójny podbródek zatrzęsał się, wargi zadrgały. Okrągła twarz wydłużyła się, a jej syta, bezmyślna obojętność zmąciła się gwałtownym przestraszeniem.

— Maciel... Czytajcie — krzyknął ochrypłym głosem — o Józce!...

— Co? Co?

— Gdzie?

— Tu!... tu!...

Maliniewiczowa pierwsza chwyciła gazetę i zbliżywszy do oczu głośno przeczytała:

— Dzienniki lwowskie zamieszczają następującą notatkę p. t. „Z dramatów codziennych”. Pogotowie ratunkowe zostało zawezwane wczoraj do jednego z nędżnych domków przy ulicy... W wilgotnej, zimnej, snąc od szeregu dni już nieopalonej izbie leżała nieprzytomna młoda kobieta. Lekarz stwierdził niezwykle wycieńczenie całego organizmu, spowodowane niedostatecznym odżywianiem się.

Książki znalezione w mieszkaniu i inne szczegółły pozwalają wnioskować, że ofiara nędzy, dwudziestolatka Józka Żarnicka, należy do sfery inteligencji. Ciężkie warunki wojennego bytowania zapędziły ją pośród największych biedaków.

Chorą odwieziono do szpitala. Stan zdrowia jej jest groźny i budzi poważne obawy.

— Aaa! — wydarło się jak ryk z gardła panny Antoniny.

Obie ręce podniosła ku skroniom:

— Ludziel... ludziel... Jezul!...

Gazeta wysunęła się z palców zmieszanej Maliniewiczowej. Radczyni spojrzała na męża.

Maliniewicz stał blady, przerażony, miotany burzą wewnętrzną. Jakies strzępy przygluszonych uczuć ojcowskich wstawały z dna jego duszy, dopominając się o swoje prawa, usiłowały przebić twardy pancerz oschłości, samolubstwa, sybarytyzmu.

— Sama sobie winna! Waryatka!... Harda, nieposłuszna! — chciał krzyknąć, ale słowa nie mógł wydobyć, bo go wyrzucił sumienia żelazna garścią ścisnął za gardło.

„Ojciec... ojciec!... Toś ty winien, że twoje dziecko ginie!...”

Chciał się bronić, protestować, nie słuchać — lecz ten głos wewnętrzny silniejszy był i nieubłagany.

— Do szpitala!... Pogotowie!... Jak zebrać! Boże! Co za straszna kompromitacja!... Co za wstyd! — jęknęła wreszcie radczyni.

Panna Antonina uderzyła ją wzrokiem tak twardym i ostrym, że Maliniewiczowa umilkła i mimowoli spuściła oczy.

— O kompromitację pani chodzi tylko! — powiedziała glucho stara panna — A ona tam... z głodu!... Rozumiecie — z głodu!... W nieopalonej izbie w takie zimno... W ostatniej nędzy!... Czy wy to rozumiecie? — krzyknęła przeraźliwie.

Maliniewicz pobladł jeszcze silniej. Mętnem, ogłupiałym spojrzeniem wpatrzył się w twarz kuzynki.

Zegar ścienny wydzwonił godzinę dziesiątą. Panna Korzewska drgnęła.

— O której godzinie odchodzi pociąg do Lwowa?

— Doprawdy, nie wiem... Popatrzę zaraz! — szepnął radca — Pojedziesz?

— A któż! — brzmiała sucha, lakoniczna odpowiedź.

— Ja bo nie mogę tak od razu... w tej chwili — łomaczyl się ojciec Józki, pocierając ręką czoło — rozumiesz... obowiązki... zajęcia... ale podróż swoją ja płacę i pieniędzy dam... ile będzie potrzeba...

Odetchnął z ulgą, jakby się pozbył ciężaru. Ta zamierzona ofiara pieniężna uspokoiła jego zbuntowane na chwilę sumienie ojcowskie. Robi przecież co może.

Kuzynka i żona — obie popatrzyły na niego. We wzroku panny Antoniny przebijało urągliwe, bolesne szyderstwo — w wielkich zielonych oczach pięknej pani zamigotał wyraźny niepokój.

Maliniewiczowa przestraszyła się nadmierną hojnością męża. To stare pannisko gotowe skorzystać z tego i... Ale panna Antonina rozwiała zaraz te obawy.

— Moją podróż płacę ja sama! — powiedziała — nic teraz od ciebie nie wezmę. Po przyjeździe do Lwowa zatelegrafuję i jeżeli...

Wąskie, zwiedle wargi starej panny zadrżały lekko.

— jeżeli Józka będzie czegoś potrzebowała, dam znać. To się jej należy!

Nikt nie odpowiedział. Zapanowała znowu przykra, duszna cisza. Przerwało ją lekkie skrzypnięcie drzwi. Do jadalni weszła służąca, pytając:

— Proszę pani, co będzie do rosółu, makaron, lane ciasto, czy francuskie kluseczki?

— Hilarciu! — Maliniewiczowa rzadko tak słodkim tonem i równie pieszczotliwie przemawiała do męża. — Co wolisz?

Radca westchnął ciężko.

— Doprawdy, nie wiem czy będę miał apetyt... Tyle zmartwienia!... Ale niech już będą francuskie kluseczki.

— — — — —

— Józku! Dziecko!... Poznajesz nas?

— Poznaję, naturalnie — odpowiada chora słabym, zmęczonym, matowym głosem — ciocia Antosia... Anielka...

W przygasłym spojrzeniu Józki nie maluje się nic prócz zupełnej obojętności. Żadnego zaciekawienia obecnością ciotki, żadnego rozradowania na widok przyjaciółki.

Panna Antonina zaczyna sapać głośno. Mięśnie jej twarzy drgają komiksem. Spiczasty koniec porusza się bardzo szybko. Oczy, pomimo wysiłku woli, walczące z rozczuleniem, napęniają się wilgocią.

— Przytomna!... Boże, dzięki Ci!... Dziecko jakżeś ty nas nasraszyła!...

Chciała mówić coś jeszcze, ale Anielka Walczakowa położyła palec na ustach, dając znak aby umilkła.

Młoda kobieta pochyliła się troskliwie nad Józką i zbliżyła swoje śliczne, spokojne, łagodne lica do jej zbiedzonej twarzyczki.

— Chcesz pić, Józienko?

— Tak...

Walczakowa przytknęła do ust przyjaciółki szklanekę z napojem rubinowej barwy. Kilka łyków chłodnej lemoniady, zaprawnej winem, orzeźwiło trochę chorą.

Odetchnęła głębiej i nie unosząc głowy z poduszki, rozejrzała się wokół po czystutkim, białym pokoju.

— Gdzie ja jestem? — zapytała.

— W lecznicy — pośpieszyła z odpowiedzią panna Korzewska.

Słowo „szpital”, zastąpiła nazwą „lecznica”, bynajmniej jednak nie dla czystości języka, tylko dlatego, że „szpital”, to brzmiało w jej uszach nazbyt brutalnie i jednoczyło się z pojęciem nędzy.

— Chorowałaś ciężko, ale teraz jest ci już, chwala Bogu Najwyższemu, lepiej.

Cieniutka zmarszczka pojawiła się między brwiami Józki. Widać było, że chora z wysiłkiem coś sobie przypomina.

— Aha... chora byłam... tak... już wiem...